

W nocy 3 maja 1991 roku Jerzy Kosiński powiedział swojej ukochanej Urszuli Dudziak: *Jak się obudzę, zadzwonię do ciebie*. Zostawił też notkę, w której napisał cytowane wiele razy zdania: *Kładę się teraz do snu na trochę dłużej niż zwykle. Nazwijmy to wiecznością*. Prawdopodobnie zbierał wcześniej informacje, jaka metoda samobójstwa jest najmniej bolesna i najskuteczniejsza. Zatem szykował się na śmierć dość długo. Z dużą dawką alkoholu zmieszał dużą dawkę środków nasennych, rozebrał się, wszedł do wanny pełnej wody, a dla pewności założył na głowę torbę foliową. Rano żona Kiki znalazła go martwego.

Zarówno życie, twórczość, jak i śmierć tego niewątpliwie barwnego ptaka światowej literatury budzi wiele kontrowersji i sporów. Można, zatem doszukać się elementów autodestrukcyjnych, które pojawiały się w jego powieściach. Były one jakby wytluszczone czarną depresją, gdyż samobójstwo było jednym z tematów literackich przewijających się przez twórczość Kosińskiego.

Sława ma swoją cenę, wyzwała wścibstwo i zazdrość. Kosiński na świecie był okrzykiwany jako wielki łgarz, ale i wybitny pisarz, w Polsce uznawany jako *taki niewdzięczny Żyd niemający prawa oskarżać polskich chłopów, którzy uratowali życie jemu i jego rodzinie*. Wiadomo nie od dziś, że ludzka natura z trudem znosi cudze powodzenie, stąd różne spekulacje na temat jego talentu pisarskiego. Tworzył bardzo efekciarskie powieści zdobywając ogromną międzynarodową sławę, a mimo to został bardzo szybko zapomniany. Wiele jego powieści powstawało z głodu sukcesu. Metodę literacką Kosińskiego najlepiej widać w raczej kiepskiej powieści *Randka w ciemno*, gdzie bohaterem jest cynik, który manipuluje ludźmi i zdarzeniami – zdaje się, jakby Kosiński przeczytał napisane kilka lat wcześniej powieści Ireneusza Iredyńskiego *Dzień oszusta i Ukryty w słońcu*. Pełno w niej perwersyjnego seksu i elementów świata *glamour*. Kosiński pisał bogato okraszone perwersją baśnie dla dorosłych. Co zapewne wiąże się z życiem, które sam wiodł. *Seks był niesamowicie ważną częścią naszego związku. A nie ma nic piękniejszego od kombinacji: wielka miłość i genialny seks. On był miłością mojego życia, potrząsnął mną, zmienił mnie kompletnie. Byliśmy dla siebie stworzeni* – Urszula Dudziak o Kosińskim w jednym z wywiadów.

Został doceniony przez polskich czytelników dość późno, bo dopiero kiedy odniósł światowy sukces i kiedy dotarła wiadomość o jego śmierci. Czy w tym pięknym, lecz zaściankowym kraju, jakim jest Polska, trzeba skandalicznie wyciągnąć kopyta, żeby docenili twórcę? Niektórzy są zdania, że winna niedoceny i nieznaności jego pióra była cenzura PRL-u. Cóż... Obawiam się, że przez współcześnie rządzącą partię cenzura wróci do łask i ponownie zostanie rzucony zły czar na literacki rynek wydawniczy.

Magdalena Kapuścińska

Święty Florian

– fragment powieści „Nowe czasy”

Kotula od kilku dni był mocno zajęty, jeździł tu i tam, a to z zaproszeniami, a to z poleceniami, sprawdzał osobiście, czy wszystko zostało wykonane według jego poleceń i czy zaproszenia do ważniejszych osobistości zostały wysłane w terminie. Dzwonił też do kancelarii prezydenta, chcąc się upewnić, czy zaproszenie dotarło i czy już została podjęta w tej sprawie decyzja. Przypominał tym ciulom, że Wałęsa obiecał przecież wyjątkowo na tę uroczystość przyjechać. Było to co prawda już dawno, ale jeśli słowo się rzekło, to kobyła u płotu. Tak uważał, a jak nie to rozliczy nawet samego Wałęsę. On potrafi! Dzwonił kilka razy do kancelarii prezydenta, ale urzędnicy cały czas wypowiadali się dość wymijająco, trzymając go w niepewności. Wysłano też zaproszenie do premiera, prymasa, nuncjusza, a także do biskupa Wiktorskiego i wszystkich znaczniejszych osobistości z województwa. Bo o miejscowych notabli, miedzianowskich, już nie dbał, gdyż był pewien, że zleca się jak psy do jatki, spodziewając się nie wiadomo kogo tu spotkać, a przy okazji komuś się podlizzać lub coś załatwić dla siebie. Przewidywał, że w odstąpieniu pomnika św. Floriana weźmie udział co najmniej kilka tysięcy osób. Przynajmniej pierwsza zmiana. Zamówiono też dla podniesienia rangi uroczystości poczty sztandarowe z całego województwa.

Przeżywał to wszystko tak, jakby to nie patron stalowników, lecz on sam miał stanąć na piedestale i z góry patrzeć na wszystkich. Nie spał po nocach i gnębił się, czy wszystko zostało załatwione jak należy i czy zostało zapięte na ostatni guzik. Myśłami był tylko przy tej uroczystości.

Wreszcie nadeszła najważniejsza chwila, doniosły moment w jego życiu, na który czekał ponad dziesięć lat. Kiedy zawyła fabryczna syrena, ludzie zaczęli opuszczać swoje stanowiska pracy. Myli się, przebiegali i szli drogami zakładowymi w kierunku bramy wyjściowej. Kotula patrzył się i patrzył. Obliczał, że w tłumie idzie co najmniej kilka tysięcy osób. Masa! Za chwilę jego oblicze nagle posmutniało. Nie wierzył własnym oczom. Przetarł je kilka razy chusteczką. „Kurwa!” – krzyknął z wściekłością. Większość tych chłopków kierowała się nie pod pomnik, ale chyłkiem, jak złodzieje, szła w kierunku zajezdni samochodowej. Te chłopki-roztopki, jak wtedy na akademii pierwszomajowej, gdy krzyknął na widowni: *autobusy przyszyły!*, woleli wcześniej wrócić do domu niż zostać na odstąpieniu pomnika swego patrona. Pies im mordę lizał. To klęska, skończyła się nasza solidarnościowa rewolucja. To po to walczyliśmy o wolność, niepodległość, o demokrację, aby te chłopki mieli wszystko w dupie. Tak, tak. Przyzwyczaili się w Stalowni odwalić swoje i wracać do domu, by tam jeszcze popracować, jak to mówili, na

swoim. Im komunizm odpowiadał najbardziej. Stalownia gówno ich obchodziła, bo to była państwowa robota. Tu się można opierdalać. On, Władek Kotula, wzrostu słusznego i wagi ciężkiej, dryblas, chłop twardy jak stal, miał łzy w oczach. Po raz pierwszy od niepamiętnych lat zapłakał. „Na darmo walczyliśmy! – wyszeptał. – Na darmo!”

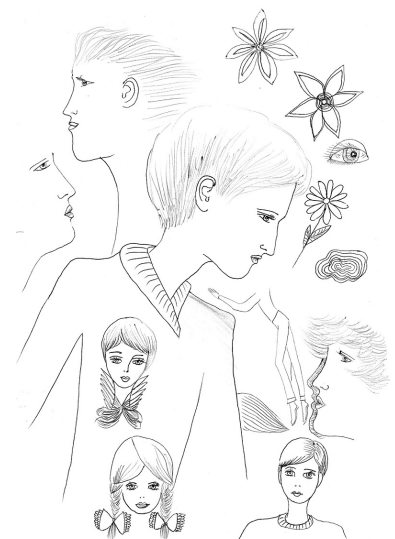
Pomnik liczący kilka metrów wysokości górował nad wszystkimi. Był piękny i dostojny, i kosztował – ho! ho! bagatelka – dwa miliardy złotych. Ale jakie miało to teraz znaczenie? Żadne. Obawiał się, że na następną uroczystość może przyjść jeszcze mniej. A może przyjdą już tylko ci najwierniejsi.

Zastanawiał się, dlaczego związek tracił coraz więcej zwolenników. Czy z powodu bezrobocia? Przecież nie było jeszcze tak tragicznie. W Stalowni nadal pracowało piętnaście tysięcy ludzi. Niskie zarobki? Przecież w Stalowni w porównaniu z innymi nie były wcale najgorsze. A w przeliczeniu na dolary 3-4 razy tyle co dawniej. W żadnym z dużych zakładów ludzie tyle nie zarabiali.

Wałęsa też nie przyjechał, choć wcześniej obiecywał, że do Miedzianej Woli, gdzie wbito ostatni gwóźdź do trumny komunizmowi, na pewno przyjedzie. I chuj! Nie przyjechał. To drugi zawód, który go dzisiaj spotkał. Premiera Solidarnościowego rządu także nie było. Przysłano jakichś podsekretarzy stanu, a więc same warszawskie gówno, byle co, barachło, asystentów co parasole i teczki za szefami nosili.

Nie interesowały go poczty sztandarowe, ani okolicznościowe przemówienia. On widział w dzisiejszej uroczystości prawdziwą klęskę. I nic nie mogło zmienić tej opinii. Patrzył na tę garstkę wiernych, na te tysiąc ludzi, którzy zechcieli jeszcze przyjść i żalność mu serce ścisłała. I to na piętnastotysięczny zakład. Gdzie w samym związku było blisko pięć tysięcy. O czym więc, kurwa, tu mówić. Tylko upić się z rozpacz.

Mirosław Osowski



Rys. Barbara Medajska